

Siostry Butterfly

Kurtyna ciemną ścianą odgrada jeszcze widownię od sceny. Na widowni nic nadzwyczajnego. Same pospolite warszawskie fizjonomie. Trochę więcej niż zwykle dekoltów, powłóczystych sukien i czerni smokingów.

Znanym przejściem koło łóż wążguje się za kulis. I tu odrazu na wstępie — żółta twarz.

Malutki dżentelmen z wosku. Słodko po japońsku uśmiechnięty, zagradza mi drogę stanowczym gestem. I po polsku do mnie:

— Tu nie można.

Opiekun, przydzielony z ambasady. Więc tłumaczę:

— Tylko chwilę porozmawiać.

— Tu nie można — on swoje uparcie z uśmiechem. — Tu wielki rygor. Chyba, że bez rozmowy, tylko popatrzeć.

— Dobrze, dobrze — zgadzam się skwapliwie — popatrzeć...

A za kulisami odrazu w oczach kolorowo. Na szarych deskach sceny, w mrocznych przejściach między zakurzonymi dekoracjami powyrastały kwiaty. Jakby kto bukiet rozsypał. Albo wypuścił z siatki gromadę motyli.

W kwiecistych kimonach przesuwają się koło mnie precudne laleczki. Buzie mają z porcelany. Nie szpeci ich nawet sceniczny maquillage, taki jakiś gładki. Skośne oczka czarne i aksamitne. Drobne usteczka zamykają się „w ciup”. I całe są uśmiechem. Jakby wszystko w nich składało się z tego słodkiego, czarownego uśmiechu.

Stanowiący tak pośród ruchliwej gromadki, czuję się nagle nie-swoje. Jak wyrośnięty olbrzym. Dwie wytworne damy, które tu wtargnęły za mną i bezceremonialnie lustrują wzrokiem japońskie dziewczęta, wydają mi się w

tej chwili jak nieociesane wielkie kloce.

A figurki z kości słoniowej mają ruchy kocie i miękie, powiązane w harmonię, łagodne gesty rąk i przegięcia drobnych ciał. Przepręwiają koło nas, wciąż, poruszają się bezustannie.



Napełniają całe kulis piasiniem. Słowa i śmiech. Naprzemian. Słowa i śmiech rozta-piają się w sobie.

— Parlez — vous français? deutsch? english? — próbuję zagadnąć jakimś ludzkim językiem.

Wszystko jak groch o ścianę. Gdzieżby takie kolorowe kolibry mogły posługiwać się pospolitą mową. Uśmiechki w odpowiedzi. I dalej świegocą po swojemu.

Ale z dżentelmenem w smokingu przybyłym z zespołem można się rozmówić.

Opowiada więc o „Takaratsuki”. Szkoła i teatr. Dla dziewcząt, któ-

re skończyły szkołę ogólną i które tłumnie, w kolejce stały do trudnych egzaminów wstępnych. Jest ich w szkole około 600. Nauka trwa 7 lat, w czasie których wychowanki „Takaratsuki” otrzymują zupełniające wykształcenie ogólne, uczą się śpiewu, muzyki i tańca.

ponki, dbając jednocześnie o ich poziom kulturalny.

— Ale czemuż, przywołując je tutaj nie nauczyliście je europejskich języków.

— Leciutki uśmiech ironii.

— Po co? Wystarczy, jeśli mogą rozmawiać po japońsku w Japonii.

Młode, słodkie dziewczęta ze Wschodu w czasie tej europejskiej eskapady żyją w klasztornej rygorze. Kto wie, czy nieznaną obcych języków nie jest najpewniejszą przeszkodą, murem, który odgradza je od „zepsutej Europy”.

Ale nawet srogie żółtoce cerby płci męskiej nie poradzić nie mogą, że małe Japonki czarują, że gonia za nimi po europejsku wymowne spojrzenia.

Inspicjenci, dyrektorzy, sekretarze... (wyjątkiem jest strażak, który patrzy na skośnookie lalki z wyraźną dezaprobatą), cały męski świat kulis teatralnych usiłuje rozpocząć egzotyczne flirty.

— Wysoki blondyn wyznaje damie w kimonie miłość na migi: dłoń ma na sercu i dłoń wyciągniętą w stronę pani serca.

Kimonowa pani rozumie. Zgina się cała w miłym ukłonie. Białe zębki odsłaniają się w uśmiechu z za dzieciennych ust. Kimonowa pani wie, że trzeba być uprzejmą. Ale w aksamitnych oczach tli się isierka ironii: „któż słyszał wyrażać swoje uczucia tak wulgarnym, tak pospolitym gestem”.

One o miłości mówią inaczej. Na scenie szklanym, czystym głosem gejsza śpiewa smutną historię miłosną. I tańczy, od stóp po szyję zakutana w jedwabne kimono.

W pełnej liryzmu śpiewno — tanecznej — opowieści niema ani przez chwilę krzykliwych dysonansów. Wszystko jest barwno-

ścią i umiarem.

Widownia chłonie z zachwytem taneczne obrazy. Dźwięczą dzwo-pieczki i grzechotki, lkaia semi-seny. Tancerki zmieniają strój. I demonstrują cały swój wysoki kunszt taneczny. Wdzięczne, lekkie dziewczęta z jednego obrazu przemieniają się w innym we wściekłe demony. Walczą z potworami. Grają każdym gestem. I rozsnuwają się przed oczyma widzów słoneczne bajki i groźne, japońskie legendy.

Widownia bije brawo. Grzmi od oklasków. Japonki znowu krokiem motyli wracają za kulis. Rozświegotane, dzwoniące śmiechem.

Jakimś szczęśliwym trafem znajduję taką, co przecież mówi łamanym europejskim językiem.

— Podobą się pani europejska publiczność? Europa?

— O, bardzo, mówi z kurtuazją przechylając czarną uperuczoną głowę z tym ich japońskim wdziękiem nieuczzonej zalotności.

— A nie chciałaby pani tu zostać?

— O, nie. Każda Japonka wraca do swego kraju.

— Japonia jest bardzo piękna, prawda?

— Europa jest równie piękna — słyszę znów uprzejme słowa, ale w oczach małej japońskiej lalki dostrzegam coś, co ukazuje za uśmiechem, mówi o ukrytych myślach.

Nawet te młode rozśpiewane, roztańczone dziewczęta już naucone są dwóch rzeczy: krytycyzmu do rzeczy oglądanych i wiary w starą kulturę swojego narodu.

Maria Rutkowska



Nowa Jama u Pani Kawiarskiej

W kawiarni plastyków na Królewskiej dano zamiast wieczorowego przedstawienia „Mistrza Patelfina”, produkcję studentów warszawskiej ASP. Takie sobie zabawne aktualności pisane mową zwinną.

A ponieważ w świecie artystycznym, a specjalnie malarskim, zawsze dzieje się coś interesującego, więc sala była szczelnie nabitą — bo ludzie są ciekawi.

Najświetniejsze tradycje imprez tego typu dała krakowska Michałkowa Jama i dzisiejsi organizatorzy malarskiej plotki „U Pani Felicjanowej Kawiarskiej” nie bez wdzięku do owej Jamy wzdychali.

Pierwszym numerem programu by-

ło wnoszenie pianina na scenę — z udziałem publiczności. Podkreślamy ten trick reżyserski dlatego, że był on bodaj jedynym, który nie uległ cenzurze. „Redaktor odpowiedzialny” całej zabawy — profesor, najzłośliwszego i najdowcipniejszego piosenki swoim uczniom poskreślał. Śpiewali więc troszkę niajko i bezosobowo, a nieliczne wystąpienia ad personam były przez publiczność najbardziej spontanicznie przyjmowane. Stąd ważna nauka na przyszłość i dla autorów — wykonawców i dla „cenzora”.

Pomimo tego całość wypadła bardzo dobrze — kontakt z malarzami i rzeźbiarzami zawarliśmy, czekamy tylko co pokażą następnym razem.

Jes

Wielki sukces Kostrzewskiej w „Fauście”

Dziś Teatr Wielki daje „Fausta” w rewelacyjnej inscenizacji dyr. A. Dołżyckiego, który mistrzowsko kieruje wspaniałą orkiestrą.

Ci wszyscy, którzy idą naprzód, którzy rozumieją potrzebę spopularyzowania opery, odwołują się do niej, nadania operze nowych form i kształtów — wychodzą z widowiska „Fausta” zachwyceni i oczarowani. Zarówno bowiem oprawa dekoracyjna prof. Jarockiego, jak również inscenizacja i wykonanie stoją na najwyższym poziomie artystycznym.

Nie więc dziwnego, że codziennie teatr jest wyprzedany do ostatniego miejsca, a owacjom nie ma końca. Kostrzewska, Salecki (występujący gościnnie), Poredu, Kowalski, Warwa, Granowski i Terenkoczy odnoszą niepospolity triumf. Balet w „Nocy Walburgii” oryginalny i fascynujący, a Karczmarewiczówna ośniewa cudownym tańcem.

Na św. Mikołaja dzieci idą do Ortyma!

Idą wszystkie! Bez wyjątku! Bo to ich święto najradośniejsze i najmiłsze. Ulubiony teatr ORTYMA daje w Teatrze Wielkim w niedzielę o 12 i 4 pp. ośniewające przedstawienie z krainy czarów i baśni. Najweselejszą bajką „DOBRA WRÓŻKA” zachwyci dzieci, a zjawienie się w otoczeniu aniołków św. Mikołaja oczaruje wszystkich.

Zatem pamiętajcie wszystkie dzieci: Spotkamy się w niedzielę o 12 lub 4 pp. w Teatrze Wielkim u naszego kochanego Pana ORTYMA. Bilety już są do nabycia w kasach Teatru Wielkiego i Orbisie.

ABC W LUBLINIE

W Lublinie zaplanowano ważną „ABC” lub nową powieść Księgarni Polskiej Pilewickiego. ul. Kapucyńska 1, telefon 15-78.

DOROTHY BLACK

54)

PRZYGODA

Powieść

Przekład autoryzowany z angielskiego

— Po tańcach pójdziemy na górny pokład. Tam ciemno. Będzie mnie całował.

Wstrząsnęła się. Po tamtych pocałunkach — inne. To jak świętokradztwo. Tamten już jej nie pocałuje.

Zwróciła szybko myśl na weselsze tory. Będzie miała swój dom. Pójdzie do Witheringtonów i utrzyma Galpinę, a także Lippingtonów. Śledziennik! Będzie musiał przybrać najlepszą minę i potraktować ją jak klientkę.

Co to będzie za uciesza! Ha! Ha! Po co truć tym, na co nie ma rady?

— Zdrowie młodej pary!

Głosy i śmiechy zlewały się w wesołą wrzawę. Loraine mówiła niby to radośnie: — Czuję się jak matka, która wydaje świetnie za mąż najstarszą córkę, ale czy, nie wiadomo dlaczego, miała pełne łez. Widząc Sue zapytała, dlaczego płacze.

— Nie, nie płaczę. Cóż znowu, głuptasku? Ale jestem taka przejęta, że nie wiem, co się ze mną dzieje.

Tańczyli. Od stolików w rogach pokazywano na nich. Od stolików po drugiej stronie sali oglądano się ciekawie.

— To ci, co się zaręczyli. Ona — uroczą. Miła para...

Sue bawiło to, że są dziś głównymi osobami, ale wolałaby, żeby orkiestra nie grała głupiej melodii, która jej tak boleśnie przypominała Simona.

— Rozmówmy się — szeptały saksofony, jakby się zwracały wyłącznie do Sue. — Rozmówmy się, nim przyjdzie chwila pożegnania...

Major szepnął:

— Chodźmy na powietrze, Sue... Mam dosyć łoku. Chodź, najdroższa. Chcę ci mieć tylko dla siebie...

Loraine usiadła przed lustrem. Czuliła się zdezerwowana i nieokreślenie nieszczęśliwa. Ostrzegawcze powiedzenie pana Chamyneux wytrąciło ją z równowagi więcej, niż sobie uświadamiała. Kobieta ma niewiele czasu.

Nachylona do lustra, przyglądała się badawczo swej pięknej twarzy. Cera była gładka, różowo — biała, bez zmarszczek, naprawdę bez zmarszczek. Poglądała się długimi palcami po policzkach, po podbródku. Jak dotąd, wszystko w porządku.

Trzydzieści dziewięć lat. Nikt by jej o to nie posądził. Sue — naiwna Sue traktowała ją jak równieśniczkę.

— Jak jeszcze długo? — pytała siebie. — Pięć lat — sześć?

Później będzie swobodna.

Trwożna myśl przejęła serce chłodem. Swobodna, to znaczy zadowolona. Czy to możliwe? Przypominały jej się słowa pieśni, którą śpiewała w jednym ze swoich najlepszych filmów, tych, które cieszyły się największym powodzeniem. Grała rolę królowej, samotnej w zamku, którą jeden po drugim opuszczają kochankowie.

Piękność przemija jak marzenie senne.

Miłość staje się odrazą...

Ciszej, moja luto, ciszej...

Wyobraźnia nasunęła jej śniadą, ściągłą twarz majora Patona, wpatzonego trochę melancholijnie w Sue. Sue, taka młoda. Za młoda, żeby coś zrozumieć.

Wsparała głowę na rękę. Piękność w lustrze uczyniła to samo. Loraine skrzywiła się, i jak to robią małe dziewczynki, pokazała swemu odbiciu język.

— Nużysz mnie... — szepnęła.

XI,

Noce były najgorsze. W dzień Sue bawiła się nieźle. Sprawiała jej przyjemność ciekawe spojrzenia pasażerów. Lubiła, serdecznie lubiła narzeczzonego. Rada była, że jej nie odstępowała krok, że ciągle jest przy niej.

(D. c. n.).